

**JACEK  
OSTROWSKI**

**CZARNY WIDOWIEC**



**JACEK  
OSTROWSKI**

**CZARNY  
WDOWIEC**

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA



*Szanowny Czytelniku, czytając tę książkę, pamiętaj,  
że zbrodnie w niej opisane to nie fikcja literacka,  
to zdarzyło się naprawdę. Wszystkie postacie  
w powieści są fikcyjne i wszelkie podobieństwa  
do osób są przypadkowe i niezamierzone.*



**K**uranty wybiły godzinę dziesiątą. Okna skryły się za ciężkimi welurowymi kotarami, przy suficie, w żyrandolu, tkwiła osamotniona żarówka. Dawała słabe światło, w pokoju panował półmrok. Na barwnym wełnianym kobiercu leżał na wznak nagi mężczyzna. Ręce skrępowane miał paskiem od spodni i przytrzymane do nogi stołu, stopy spętane kablem przeciągniętym do kaloryfera. Szarpał się na wszystkie strony, usiłując się za wszelką cenę uwolnić. Wszystko na próżno, pęta jedynie coraz bardziej wrzynały mu się w ciało, potęgując cierpienie. Gdzieś w tle słychać było cichą muzykę, to *Piąta symfonia* Beethovena. Zaskrzypiały zawiasy drzwi, powrócił jego oprawca. Trzymał w dłoni długi nóż rzeźnicki. Poglósnił adapter, po czym podszedł wolno do swojej ofiary, ukląkł i się nad nią nachylił. Nagle nieludzkie wycie przeplotło się z rytmem muzyki, dywan zaczął chłonać ludzką krew niczym gąbka.





**P**łock, połowa lat siedemdziesiątych. Z kalendarza spadła kartka z datą 20 grudnia. Od kilku dni zima była w natarciu, kilkanaście kresiek poniżej zera zmroziło powietrze, śnieg sypał nieprzerwanie od paru godzin, przykrywając polską biedę grubą kołdrą białego puchu.

Płocczanie kryli się w domach, sprząтали, przygotowywali świąteczne potrawy, ozdabiali bombkami choinki. Przygotowywali się do Bożego Narodzenia, do najbardziej rodzinnego święta w roku.

Było tuż po godzinie siedemnastej, gdy Zuza Lewandowska opuściła mieszkanie i zeszła na dół, na podwórze. Tam, nieopodal śmietnika, stał jej wysłużony volkswagen garbus. Sporo przez te ostatnie lata przeszedł, jeden poważny wypadek i wiele stłuczek. W pewnym momencie stała się najlepszym klientem, a co za tym idzie, stałym źródłem dochodu pana Józia, mechanika i blacharza w jednej osobie.

Szczotką zgarnęła z pojazdu zwały białego puchu, z trudem otworzyła drzwi i zajęła miejsce za kierownicą. Kilkakrotnie przekręciła kluczyk w stacyjce, ale rozrusznik wydał z siebie tylko jęk niczym ostatni oddech konającego. Porażka. Akumulator padł, nie było szans na uruchomienie silnika.

Kobieta rozejrzała się po podwórzu, jeszcze z nadzieją w sercu, że ktoś poda jej pomocną dłoń i popchnie volks-wagena, ale to próżne nadzieje, nigdzie wokół żywej duszy nie było widać. Paskudna zimowa aura nawet okoliczne obszcymurki przegoniła w cholerę. Zapewne siedzieli teraz po korytarzach i bramach, sącząc najprzeróżniejsze wynalazki, wśród których prym od dawien dawna wiódł fioletowy płyn o wdzięcznej nazwie denaturat.

Lewandowska zakłęta szpetnie pod nosem, wzięła z tylnego siedzenia samochodu siekiere, po czym zamknęła pojazd i wyszła na ulicę.

Zduńska wyglądała na wymarłą, znikąd szukać pomocy.

Nie mogła się poddać, to nie w jej stylu, musiała znaleźć inny sposób, żeby dostać się do Grabiny. Tam w prywatnym zagajniku czekała na nią choinka.

To była rodzinna tradycja: od wielu lat, od kilku pokoleń Lewandowscy zaopatrywali się, i to osobiście, w świąteczne drzewka tylko w jednym miejscu, w szkółce Czerwińskich, jeszcze przed wojną obszarników, a obecnie za sprawą reformy rolnej właścicieli jedynie pięciu hektarów piaszczystych nieużytków. Tym razem też tak będzie i basta.

Kobieta wróciła na chwilę do domu po psa Borysa, z wyglądu przypominającego krzyżówkę sznaucera z bernardynem, którego odziedziczyła po Piotrowicz, wdowie po prokuratorze. Przy okazji owinęła siekiere grubym papierem pakowym, lepiej nie straszyć nią przechodniów.

Brnąć nieodśnieżonym chodnikiem, udała się w stronę ulicy Kwiatka, na najbliższy przystanek autobusowy. Śnieg sypał coraz intensywniej.

Na przystanku stała nieduża grupa oczekujących, którzy tupali nogami z zimna. To mieszkańcy Ciechomic i Gór wracający z ostatnich zakupów. Minął kwadrans, wreszcie pojawił się czerwony san oznaczony numerem siedem.

Zuza dotarła na miejsce po półgodzinnym mozolnym przebijaniu się przez zamieć śnieżną. Wysiadła na przystanku nieopodal browaru, który od zawsze słynął z paskudnego w smaku ciechomickiego piwa. Przy braku lepszego na rynku i ono zniknęło ze sklepów na pniu. Swoje zadanie spełniało, można było się nim upić do nieprzytomności, a przecież tylko o to w tym chodziło. Wraz z nią wysiadło kilkanaście osób, część rozeszła się po okolicznych domach, reszta udała się w tym samym co ona kierunku, tyle że dużo szybciej.

Borys szarpał się na smyczy na wszystkie strony, zafascynowany wieloma nowymi zapachami, co Zuzę tylko spowolniło, a czekało ją około dwóch kilometrów wędrówki zaśnieżoną polną dróżką, wybranie drzewka, ścięcie go i powrót.

Zanim się jako tako ogarnęła z psem, inni pasażerowie autobusu dawno już wysforowali się daleko przed nich. Teraz mogła przynajmniej bez obawy spuścić Borysa i przyśpieszyć.

Śnieg przestał padać, warunki wędrówki stawały się znośne. Chwilami Lewandowska podążała czujnymi śladami, przez co było łatwiej, innym razem brnęła przez głębokie zasy.

Minęły dwa kwadransy marszu.

Wreszcie dotarli do celu, do małej polanki otoczonej zagajnikiem niewysokich choinek. Teraz należało wypatrzeć tę jedyną. Lewandowska nie była wybredna, a i pogoda ponaglała ją do podjęcia decyzji.

Wybrała najbliższe drzewko, trafił się jej blisko dwumetrowy świerk o symetrycznie rozłożonych gałązkach, piękny niczym z obrazka. Rozerwała opakowanie siekiery, wyjęła narzędzie i rozpoczęła wycinkę.

To nie było proste, pot zalewał jej czoło, odciski nie wiadomo kiedy pojawiły się na dłoniach. Prawnik to jednak nie drwał, ciut pracy fizycznej i od razu wymięka.

Zuza robiła krótkie przerwy i znów wracała do ścinki. W pewnej chwili wydawało jej się, że gdzieś między drzewami ktoś przemknął, ale to chyba złudzenie. Pies w tym czasie szalał po śniegu, lecz nagle jakby się dosłownie pod ziemię zapadł.

– Borys! Borys! – krzyczała i nic.

Gdzie się podział ten kundel? W końcu włożyła palce w usta i zagwizdała. Mało która kobieta to potrafiła, a nauczył ją tego ojciec kolegi ze szkoły, zapalony gołębiarz. Borys zawsze na to reagował, ale nie dziś.

Wtem usłyszała pisk psa, gdzieś z daleka, zza drzew. „Co tam się dzieje?” – zaniepokoiła się. Może biedak wpadł we wnyki? Od dawien dawna chłopci nagminnie je zastawiali. W ten sposób polowali na zajęce i sarny. Niejeden pies wałęsający się po lesie wpadł w śmiertelną pułapkę. Zuza ruszyła pośpiesznie w tamtą stronę.

Może trzydzieści metrów dalej, nieopodal ścieżki bez trudu odnalazła Borysa. Nawet jej nie zauważył, tak był pochłonięty wyciąganiem czegoś spod śniegu. Co go tak zainteresowało?